

ZEMSTA POTRAFI CZEKAĆ W MILCZENIU

TESS GERRITSEN

Milcząca
dziewczyna



Rozdział pierwszy

San Francisco

Przez cały dzień obserwowałam tę dziewczynę.

Nic nie wskazuje na to, że jest tego świadoma, chociaż mój wynajęty samochód widać z rogu ulicy, na którym dziewczyna stoi wraz z innymi nastolatkami, które zebrały się tam dziś po południu, robiąc to, co zazwyczaj robią znudzone dzieciaki, by zabić czas. Wygląda na młodszą od innych, być może dlatego, że jest Azjatką i jest dość drobna jak na siedemnaście lat, po prostu chuchro. Jej czarne włosy są ostrzyżone na chłopaka, a niebieskie džinsy powycierane i podarte. Nie wygląda to na celowy zabieg zgodny z najnowszymi trendami mody, ale raczej na rezultat częstego noszenia i życia na ulicy. Zaciąga się papierosem i wypuszcza chmurę dymu z nonszalaną godną ulicznego zbira, co nie pasuje do jej bladej cery i delikatnych chińskich rysów. Jest wystarczająco ładna, by wzbudzić zainteresowanie dwóch przechodzących obok mężczyzn. Ona dostrzega ich pożądliwe spojrzenia i patrzy im prosto w oczy, nieustraszona. Nietrudno jednak być odważnym, gdy zagrożenie jest pojęciem abstrakcyjnym. Zastanawiam się,

jak by się zachowała w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Czy walczyłyby, czy raczej się załamała? Chcę wiedzieć, jaka jest naprawdę, ale jak dotąd nie miałam okazji zobaczyć, jak się zachowuje poddana prawdziwej próbie.

Zbliża się wieczór i młodzież z rogu ulicy zaczyna się rozchodzić. W San Francisco nawet letnie noce są chłodne i ci, którzy zostali, zbijają się w grupkę opatuleni w swetry i kurtki i podpalają sobie papierosy, rozkoszując się ulotnym ciepłem płomienia. Lecz zimno i głód sprawiają, że nawet najbardziej wytrwali w końcu się rozchodzą, zostawiając samotną dziewczynę, która nie ma dokąd pójść. Macha im na pożegnanie i przez chwilę kręci się w miejscu, jakby na kogoś czekała. W końcu wzrusza ramionami i odchodzi z rękami wcisniętymi w kieszenie. Idzie w moją stronę. Kiedy mija mój samochód, nawet nie rzuca na mnie okiem. Patrzy prosto przed siebie, jej spojrzenie jest skupione i zaciekle, jakby była w rozterce i intensywnie rozważała wszystkie za i przeciw. Może zastanawia się, skąd wytrzasnąć jedzenie na kolację? A może rozmyśla nad czymś dużo ważniejszym? Nad swoją przyszłością. Nad tym, jak przeżyć.

Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że idą za nią tamci dwaj mężczyźni.

Zauważyłam ich kilka sekund po tym, jak minęła mój samochód. Wyłonili się zza rogu. Poznałam ich: to ci sami, którzy gapili się na nią wcześniej. Kiedy idąc w ślad za nią, przechodzą obok mojego samochodu, jeden z nich patrzy na mnie. To tylko pospieszny rzut oka, by ocenić, czy stanowią zagrożenie. To, co widzi, nie wzbudza w nim najmniejszego niepokoju, więc on i jego kolega idą dalej. Poruszają się

niczym pewne siebie drapieżniki, którymi w istocie są, śledząc słabszą od siebie ofiarę, niemającą dość sił, by się obronić.

Wysiadam z samochodu i idę za nimi. A oni idą za dziewczyną.

Zmierza w stronę dzielnicy, w której zbyt wiele budynków jest opuszczonych, a chodniki sprawiają wrażenie wybrukowanych potłuczonymi butelkami. Dziewczyna nie zdradza żadnych oznak niepokoju czy lęku, jakby ten teren był jej dobrze znany. Ani razu nie ogląda się za siebie, co świadczy o tym, że albo jest lekkomyślna, albo nie ma najmniejszego pojęcia o życiu i o tym, co może przydarzyć się takim dziewczynom jak ona. Mężczyźni, którzy za nią idą, również nie oglądają się za siebie. Nawet gdyby mnie zauważyli, do czego nie dopuszczam, nie dostrzegliby niczego, czego warto by się bać. Zawsze tak jest.

Na następnym rogu ulicy dziewczyna skręca w prawo i znika w drzwiach.

Chowam się w cień i obserwuję przebieg wydarzeń. Mężczyźni zatrzymują się przed budynkiem, do którego weszła dziewczyna, i naradzają się, co dalej. Następnie wchodzi do środka.

Stojąc na chodniku, spoglądam w górę na pozabijane deskami okna. Budynek, do którego weszła dziewczyna, to pusty magazyn z tablicami WSTĘP WZBRONIONY. Drzwi są uchylone. Wślizguję się do środka w ciemność tak gęstą, że muszę się zatrzymać, by przyzwyczaić oczy. Tymczasem polegam na pozostałych zmysłach, badam za ich pomocą to, czego nie widzę. Słyszę skrzypienie podłogi. Czuję zapach topiącego się wosku zapalonej świecy. Widzę słabą poświatę

wydobywającą się zza drzwi po lewej stronie. Staję przy nich i zaglądam do pokoju.

Dziewczyna klęczy przy prowizorycznym stoliku. Jej twarz oświetla migoczący płomień świecy. Wokół widać ślady tymczasowego zamieszkania: śpiwór, jakieś konserwy i mała turystyczna kuchenka. Dziewczyna zмага się z opornym otwieraczem do puszek i nie ma pojęcia, że od tyłu zakrada się do niej dwóch mężczyzn.

Nabieram powietrza, by krzyknąć i ją ostrzec, ale w tym momencie ona odwraca się i staje na wprost intruzów. W rękę ściska otwieracz do puszek — dość mizerną broń w starciu z dwoma wielkimi mężczyznami.

— To mój dom — mówi. — Wynoście się.

Jestem gotowa w każdej chwili interweniować, ale czekam, bo chcę zobaczyć, co się stanie. Chcę zobaczyć, do czego jest zdolna.

— Przyszliśmy w gości, słonko. — Jeden z nich rechocze.

— Czy ja was zapraszałam?

— Zdaje się, że brakuje ci towarzystwa.

— A mnie się zdaje, że tobie brakuje oleju w głowie.

Niezbyt mądrze to rozgrywa. Teraz ich pożądanie miesza się ze złością, a to niebezpieczna kombinacja. Mimo to dziewczyna stoi opanowana i spokojna, wymachując tym żałosnym kuchennym narzędziem. Kiedy mężczyzna rzuca się do przodu, stoję już na palcach gotowa do skoku.

Ale ona skacze pierwsza. Wystarcza jeden ruch i już uderza stopą pierwszego napastnika w krocze. To mało elegancki, lecz skuteczny cios. Mężczyzna chwieje się i łapie za pierś, jakby nie mógł oddychać. Dziewczyna uprzedza ruch drugiego

napastnika. Odwraca się w jego stronę i uderza go w bok głowy otwieraczem do puszek. Mężczyzna wyje z bólu i wycofuje się.

Robi się ciekawie.

Ten pierwszy już się pozbierał i rzuca się na nią z taką furją, że oboje upadają na ziemię. Dziewczyna kopie i wali pięściami, uderza go nawet w szczękę, ale wściekłość uodporniła go na ból i z rykiem opada na nią, unieruchamiając ją ciężarem swojego ciała.

Teraz do akcji wraca drugi napastnik. Łapie ją za nadgarstki i przyciska do ziemi. Młodość i brak doświadczenia wpakowały ją w tarapaty, z których nie ma jak uciec. Nie brak jej determinacji i woli walki, ale jest w tych sprawach niewyszkolonym żółtodziobem. Sytuacja nieuchronnie zmierza ku tragicznemu finałowi. Pierwszy napastnik rozpiął rozporek w jej dżinsach i teraz gwałtownym ruchem ściąga spodnie z jej bioder. Jest wyraźnie podniecony, w kroczu jego spodnie wybrzuszają się znacząco. W takim momencie mężczyzna jest najbardziej narażony na atak.

Nie wie, że się zbliżam, nie słyszy mnie. W jednej chwili rozpina rozporek, a w drugiej leży na ziemi z rozwaloną szczęką i wybitym zębem, który wypada z jego zakrwawionych ust.

Drugi mężczyzna puszcza dziewczynę i odskakuje, ale nie jest wystarczająco szybki. Jestem tygrysem, on zaś zaledwie ociężałym bawołem, głupim i bezradnym wobec mojego ataku. Wrzeszcząc, pada na ziemię. Sądząc po groteskowym wygięciu ramienia, złamałam mu kość.

Łapię dziewczynę i stawiam ją na nogi.

— Nic ci nie jest?

Zasuwa rozporek i gapi się na mnie.

— Kim, do diabła, jesteś?

— O tym porozmawiamy później. Teraz wynośmy się stąd! — krzyczę.

— Jak ci się to udało? Jakim cudem tak szybko dałaś im radę?

— Chcesz się tego nauczyć?

— Tak!

Spoglądam na mężczyzn, którzy jęczą z bólu u naszych stóp.

— W takim razie oto pierwsza lekcja: trzeba wiedzieć, kiedy uciekać. — Popycham ją w stronę drzwi. — Odpowiedni moment jest właśnie teraz.



Obserwuję ją, gdy je. Jak na taką drobną dziewczynę ma iście wilczy apetyt. Pochłania trzy tacy z kurczakiem, miseczkę purée z fasoli i duży kubek coca-coli. Miała ochotę na kuchnię meksykańską, więc siedzimy w knajpie, w której gra muzyka mariachi, a ściany ozdabiają tandetne malowidła przedstawiające tańczące señority. Choć ma chińskie rysy twarzy, bez wątplenia jest Amerykanką, począwszy od krótko obciętych włosów aż po wytarte dżinsy. Pozbawiona oglady, nieokrzesana istota, która, siorbiąc, dopija coca-cole, a następnie miażdży zębami kostki lodu.

Zaczynam wątpić w powodzenie tego przedsięwzięcia. Jest za duża na naukę i zbyt narowista, by przywyknąć do dyscypliny. Powinnam wypuścić ją z powrotem na ulicę, skoro tego właśnie chce, i znaleźć inne rozwiązanie. Ale zauważam blizny na jej knykcjach i przypominam sobie, jak niewiele brakowało, by w pojedynkę pokonała dwóch mężczyzn. Ma nieoszlifowany

talent i jest nieustraszona — dwie rzeczy, których nie można się nauczyć.

— Pamiętasz mnie? — pytam.

Dziewczyna odstawia szklanę i ściąga brwi. Przez moment wydaje mi się, że zaczyna mnie rozpoznawać, ale po chwili to wrażenie znika. Dziewczyna kręci głową.

— To było dawno — mówię. — Dwanaście lat temu. — Dla dziewczyny w jej wieku to cała wieczność. — Byłaś mała.

Wzrusza ramionami.

— Nic dziwnego, że cię nie pamiętam. — Sięga do kieszeni kurtki, wyciąga papierosa i zaczyna go zapalać.

— Zanieczyszczasz swoje ciało.

— To moje ciało — odpowiada.

— Nie, jeśli chcesz się szkolić. — Przechyłam się nad stołem i wyciągam papierosa z jej ust. — Jeśli chcesz się uczyć, musisz zmienić swoje nastawienie. Musisz okazać szacunek.

— Nie jesteś moją matką — prychna oburzona.

— Znałam twoją matkę. W Bostonie.

— Ale ona nie żyje.

— Wiem. Napisała do mnie miesiąc przed śmiercią. Pisała, że jest chora i zostało jej mało czasu. Dlatego tu jestem.

Zaskoczona dostrzegam w jej oczach łzy. Dziewczyna szybko odwraca głowę, jakby zawstydzona tym, że okazała słabość. Ale w tym ułamku sekundy, gdy jest pozbawiona pancerza i taka bezbronna, przypomina mi moją córkę, która była od niej młodsza, gdy ją straciłam. Do oczu napływają mi łzy, ale nie próbuję ich ukryć. Smutek sprawił, że jestem tym, kim jestem. Był oczyszczającym ogniem, który wzmógł moją determinację i wyostrzył cel.

Potrzebuję tej dziewczyny, a ona najwyraźniej potrzebuje mnie.

— Szukałam cię kilka tygodni — mówię.

— Rodzina zastępcza była do dupy. Lepiej mi samej.

— Gdyby mama cię teraz zobaczyła, pękłoby jej serce.

— Nigdy nie miała dla mnie czasu.

— Może dlatego, że pracowała na dwa etaty, żebyś miała co jeść? Bo nie miała nikogo i mogła liczyć tylko na siebie?

— Pozwalała wszystkim wchodzić sobie na głowę. Nigdy się nie postawiła. Nawet wobec mnie była miękka.

— Bała się.

— Była tchórzem.

Wściekła na tego niewdzięcznego bachora pochylałam się do przodu.

— Twoja biedna matka cierpiała w sposób, którego nie możesz sobie wyobrazić. Wszystko, co robiła, robiła dla ciebie. — Z odrazą rzucam w jej stronę papierosa. Nie tego się spodziewałam. Może jest silna i odważna, ale nie ma żadnego poczucia powinności wobec zmarłej matki i ojca, żadnego poczucia rodzinnego honoru. Pozbawieni więzi z naszymi przodkami jesteśmy samotnymi drobinami kurzu znooszonymi przez prąd i zagubionymi, do niczego i nikogo nieprzywiązanymi.

Plącę za jej kolację i wstaję.

— Mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziesz w sobie dość mądrości, by zrozumieć, co mama dla ciebie poświęciła.

— Odchodzisz?

— Niczego nie mogę cię nauczyć.

— A niby dlaczego miałabyś to robić? Dlaczego w ogóle mnie szukałaś?

— Myślałam, że znajdę kogoś innego. Kogoś, kogo mogłabym uczyć. Kogoś, kto by mi pomógł.

— W czym?

Nie wiem, jak odpowiedzieć na jej pytanie. Przez chwilę słysząc tylko muzykę mariachi, która sączy się z głośników.

— Pamiętasz swojego ojca? Pamiętasz, co się z nim stało? Dziewczyna wpatruje się we mnie.

— O to chodzi, tak? To dlatego mnie szukałaś? Bo mama ci o nim napisała.

— Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Kochał cię, a ty go nie szanujesz. Nie szanujesz obojga rodziców. — Kładę przed nią plik banknotów. — To ze względu na pamięć o nich. Przestań żyć na ulicy i wracaj do szkoły. Tam przynajmniej nie będziesz musiała walczyć z obcymi mężczyznami. — Odwracam się i wychodzę z restauracji.

Nie mija kilka sekund, a dziewczyna jest już na dworze i biegnie za mną.

— Zaczekaj! — woła. — Dokąd idziesz?

— Wracam do domu, do Bostonu.

— Pamiętam cię. Chyba wiem, czego chcesz.

Zatrzymuję się i stoję z nią twarzą w twarz.

— Ty też powinnaś tego chcieć.

— Co miałabym zrobić?

Mierzę ją wzrokiem, widzę jej mizerne ramiona i biodra tak wąskie, że ledwo trzymają się na nich dżinsy.

— Nie chodzi o to, co miałabyś zrobić — odpowiadam —

lecz o to, kim będziesz musiała się stać. — Zbliżam się do niej powoli. Jak dotąd nie miała powodu, by się mnie bać. Bo niby dlaczego? Przecież jestem tylko kobietą. Ale teraz dostrzega w moich oczach coś, co sprawia, że robi krok do tyłu.

— Boisz się? — pytam miękko.

Jej broda drży. Odpowiada z dziecinną brawurą w głosie:

— Nie. Wcale się nie boję.

— A powinnaś.

Rozdział drugi

Siedem lat później

— Nazywam się doktor Maura Isles, nazwisko pisze się I-S-L-E-S. Jestem lekarzem sądowym, zatrudnionym przez urząd koronera stanu Massachusetts.

— Doktor Isles, proszę opisać sądowi swoje wykształcenie i przygotowanie zawodowe — powiedziała Carmela Aguilar, asystentka adwokata okręgowego hrabstwa Suffolk.

Odpowiadając na pytanie, Maura patrzyła wyłącznie na asystentkę adwokata. O wiele łatwiej skupić się na neutralnej twarzy Carmeli Aguilar, niż znosić spojrzenia oskarżonego i jego licznych, zgromadzonych w sali sądowej zwolenników. Pani Aguilar najwyraźniej nie przeszkadzało, że prowadzi sprawę przed wrogo nastawioną publicznością, ale Maura była tego wyjątkowo świadoma. Dużą część tej publiczności stanowili przedstawiciele organów ścigania i ich znajomi. Maura wiedziała, że nie spodoba im się to, co powie.

Oskarżonym był Wayne Brian Graff, szeroki w barach policjant o mocno zarysowanej szczęce, istne wcielenie amerykańskiego bohatera. Sympatia całej sali była po stronie Graffa,

a nie ofiary — mężczyzny, który sześć miesięcy temu z licznymi obrażeniami trafił na stół w prosektorium Maury. Mężczyzny, którego nikt nie opłakiwał i którego nikt nie szukał. A który dwie godziny przed śmiercią popełnił tragiczny błąd polegający na zastrzeleniu policjanta.

Recytując swój życiorys, Maura czuła, jak spojrzenia publiczności palą jej twarz, gorące niczym końcówki lasera.

— Jestem absolwentką Uniwersytetu Stanforda, gdzie zrobiłam licencjat z antropologii. Studia medyczne ukończyłam na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco, tam również odbyłam pięcioletni staż w zakresie patologii. Mam specjalizację zarówno z patologii anatomicznej, jak i klinicznej. Po stażu otrzymałam dwuletnie stypendium naukowo-badawcze z zakresu medycyny sądowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

— I jest pani uprawniona do wykonywania zawodu w swojej specjalności na podstawie zdanego egzaminu państwowego?

— Tak, proszę pani. Zarówno z zakresu patologii ogólnej, jak i medycyny sądowej.

— A gdzie pani pracowała przed objęciem stanowiska w urzędzie koronera w Bostonie?

— Przez siedem lat pracowałam jako lekarz patolog w biurze koronera w San Francisco w Kalifornii. Wykładałam również patologię na Uniwersytecie Kalifornijskim. Jestem uprawniona do wykonywania zawodu zarówno w stanie Massachusetts, jak i w Kalifornii. — Odpowiedź Maury była aż nadto wyczerpująca. Zauważyła, że pani Aguilar ściąga brwi, ponieważ zbliża ją z tropu, uprzedzając kolejne pytanie. Tyle razy recytowała swój życiorys zawodowy w sądzie, że doskonale wiedziała,

o co zostanie zapytana, a jej odpowiedzi były niemal automatyczne. Gdzie praktykowała, jakie musiała spełnić wymagania dotyczące wykształcenia, umiejętności i doświadczenia, czy ma wystarczające kwalifikacje, by zeznawać w tej konkretnej sprawie.

Po zakończeniu formalności Aguilar przeszła do bardziej szczegółowych pytań.

— Czy w październiku zeszłego roku przeprowadziła pani autopsję zmarłego Fabiana Dixona?

— Tak — odpowiedziała Maura. Choć odpowiedź była rzeczowa, Maura natychmiast poczuła, że na sali podnosi się temperatura.

— Proszę powiedzieć, jak do tego doszło, że śmierć pana Dixona stała się sprawą dla koronera?

Aguilar stała ze wzrokiem utkwionym w Maurę, jakby chciała jej powiedzieć: ignoruj wszystkich na tej sali. Patrz tylko na mnie i mów o faktach.

Maura wyprostowała się i zaczęła mówić tak głośno, by każdy mógł ją usłyszeć.

— Zmarły był dwudziestoczteroletnim mężczyzną, którego znaleziono bez oznak życia na tylnym siedzeniu radiowozu bostońskiej policji. Został przewieziony karetką do szpitala ogólnego stanu Massachusetts, gdzie na oddziale doraźnej pomocy stwierdzono zgon.

— I przez to jego śmierć stała się sprawą dla koronera?

— Tak jest. Z oddziału został przewieziony do naszego prosektorium.

— Proszę opisać sądowi, jak wyglądał pan Dixon, gdy zobaczyła go pani po raz pierwszy.

Nie uszło uwagi Maury, że Carmela Aguilar mówi o zmarłym mężczyźnie, używając jego nazwiska i unikając takich określeń, jak „ciało” lub „zmarły”. W ten sposób przypominała sądowi, że ofiara miała tożsamość. Nazwisko, twarz i życie.

Maura odpowiedziała w podobnym stylu:

— Pan Dixon był dobrze odżywionym mężczyzną, przeciętnego wzrostu i wagi, którego przywieziono do naszego zakładu jedynie w bawełnianych slapkach i skarpetkach. Ubranie, które wcześniej miał na sobie, zdjęto w trakcie próby reanimacji na oddziale doraźnej pomocy. Podkładki EKG nadal były przyklejone do jego piersi, na prawym ramieniu zaś miał założony wenflon. — Przerwała. Teraz zaczyna się najmniej przyjemna część. Choć starała się nie patrzeć na publiczność i obrońcę, wiedziała, że oczy wszystkich zebranych skierowane są na nią.

— A w jakim stanie znajdowało się jego ciało? Czy może nam pani opisać, jak wyglądało? — ponagliła ją Aguilar.

— Na piersiach, lewym boku i górnej części brzucha widać było liczne siniaki. Miał zamknięte i opuchnięte oczy, a na wargach i głowie rany szarpane. Dwa górne zęby, siekacze, były wybite.

— Sprzeciw. — Adwokat obrony wstał. — Nie wiemy, kiedy stracił te zęby. Być może stało się to wiele lat temu.

— Jeden z zębów znaleźliśmy po wykonaniu prześwietlenia. Znajdował się w jego brzuchu — powiedziała Maura.

— Świadek winien powstrzymać się od wypowiadania swoich opinii, o ile nie zdecyduje inaczej — oznajmił sędzia surowo. Spojrzał na adwokata obrony. — Sprzeciw oddalony. Pani Aguilar, proszę kontynuować.

Asystentka adwokata okręgowego kiwnęła głową i lekko się

uśmiechnęła, usatysfakcjonowana decyzją sędziego, po czym znów skupiła uwagę na Maurze.

— Zatem pan Dixon był bardzo posiniaczony, miał rany szarpane i przynajmniej jeden z jego zębów został niedawno wybity.

— Tak — potwierdziła Maura. — Zobaczycie to państwo na zdjęciach z sekcji zwłok.

— Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chcielibyśmy pokazać teraz zdjęcia wykonane w prosektorium — powiedziała Carmela Aguilar. — Muszę ostrzec publiczność, że zdjęcia są drastyczne. Jeśli ktoś z tu obecnych wolałby ich nie oglądać, radzę, by teraz opuścił salę. — Przerwała i rozejrzała się.

Nikt nie wyszedł.

Kiedy na ekranie pokazał się pierwszy slajd przedstawiający zmaltretowane ciało Fabiana Dixona, słysząc było, jak wszyscy oddychają głęboko. Maura powściągliwie opisała obrażenia Dixona, ponieważ wiedziała, że zdjęcia mówią same za siebie. Fotografii nie można oskarżyć o to, że trzymają czyjąś stronę albo kłamią. Przemawiająca przez nie prawda była dla wszystkich oczywista: Fabian Dixon, nim znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego, został brutalnie pobity i zmaltretowany.

Na ekranie ukazywały się kolejne slajdy, a Maura opisywała, co odkryła w trakcie autopsji. Liczne złamania żeber. Połknięty ząb w żołądku. Krew w płucach, którą musiał zachłysnąć się Dixon. I przyczyna śmierci: pęknięcie śledziony, które spowodowało krwotok do jamy otrzewnowej.

— A jaki był charakter zgonu pana Dixona, doktor Isles? — spytała pani Aguilar.

Było to kluczowe pytanie, a Maura bała się odpowiedzi, bo wiedziała, jakie niesie konsekwencje.

— Zabójstwo — powiedziała. Nie do niej należy wskazywanie winnych. Ograniczyła swoją odpowiedź do tego jednego słowa, ale nie mogła się powstrzymać i spojrzała na Wayne’a Graffa. Oskarżony policjant siedział bez ruchu. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Służył w bostońskiej policji od ponad dziesięciu lat i przez ten czas dał się poznać jako wzorowy funkcjonariusz. Kilkanaście cieszących się dobrą opinią osób świadczyło w sądzie na jego korzyść. Opowiadali, jak policjant Graff dzielnie przybył im z pomocą. Był bohaterem, mówili, a Maura im wierzyła.

Jednak trzydziestego pierwszego października wieczorem, tej nocy, gdy Fabian Dixon został zamordowany, Wayne Graff i jego partner stali się aniołami zemsty. To oni dokonali aresztowania, a Dixon w chwili śmierci znajdował się pod ich kuratelą. *Podjezany był pobudzony i agresywny, jakby znajdował się pod wpływem PCP albo cracku*, napisali w oświadczeniu. Opisali szaleńczy opór, jaki stawiał Dixon, i jego nadludzką siłę. *Opanowanie go wymagało użycia siły, ale nie sprawiał wrażenia, że odczuwa ból. Podczas szamotaniny pochrząkiwał i wydawał zwierzęce odgłosy, usiłował również zedrzeć z siebie ubranie, choć tamtej nocy było tylko niecałe pięć stopni powyżej zera*. Opisali aż nazbyt precyzyjnie dobrze znany lekarzom stan majaczenia z pobudzeniem psychoruchowym, który doprowadził do śmierci innych więźniów znajdujących się pod wpływem kokainy.

Jednak kilka miesięcy później wyniki badań toksykologicznych wykazały, że Dixon znajdował się jedynie pod wpływem

alkoholu. Maura nie miała wątpliwości, że został zamordowany. A jeden z zabójców siedział teraz przy stole obrony i wpatrywał się w nią.

— Nie mam więcej pytań — powiedziała asystentka adwokata okręgowego i usiadła z wyrazem zadowolenia na twarzy. Była pewna sukcesu.

Adwokat obrony Morris Whaley wstał, by zadać pytania strony przeciwnej, i Maura poczuła, jak jej mięśnie się napinają. Whaley sprawiał wrażenie miłego faceta. Podeszedł do miejsca dla świadka zupełnie tak, jakby zamierzał uciąć sobie przyjacielską pogawędkę. Gdyby spotkali się na jakimś koktajlu, Maura mogłaby nawet uznać, że jego towarzystwo jest dość przyjemne. W garniturze od Brooks Brothers wyglądał całkiem przystojnie.

— Myślę, że wszyscy jesteśmy pod wrażeniem pani kwalifikacji, doktor Isles — zaczął. — Nie będę zatem zabierał czasu Wysokiemu Sądowi i poddawał analizie pani osiągnięć naukowych.

Maura milczała. Wpatrywała się w jego uśmiechniętą twarz i zastanawiała, z której strony nadejdzie atak.

— Zapewne nikt na tej sali nie wątpi, że ciężko zapracowała pani na swoją pozycję — mówił Whaley. — Zwłaszcza mając na uwadze pewne trudności w życiu prywatnym, którym musiała pani stawić czoło w ostatnich miesiącach.

— Sprzeciw. — Carmela Aguilar westchnęła zirytowana i wstała. — To nie ma związku ze sprawą.

— Ma, Wysoki Sądzie. Wpływa na osąd świadka — powiedział Whaley.

— W jaki sposób? — spytał natychmiast sędzia.

— Doświadczenia z przeszłości mogą mieć wpływ na to, jak świadek interpretuje dowody.

— O jakich doświadczeniach pan mówi?

— Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, bym zadał pytania w tej sprawie, stanie się to oczywiste.

Sędzia spojrzał twardo na Whaleya.

— Na razie wyrażam zgodę na tę linię pytań. Ale tylko na razie.

Aguilar usiadła zagniewana.

Whaley znów skupił uwagę na Maurze.

— Doktor Isles, czy pamięta pani dzień, w którym badała zmarłego?

Maura zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, zaskoczona nagłym powrotem do tematu sekcji zwłok. Nie uszło jej uwagi, że Whaley unika używania nazwiska ofiary.

— Ma pan na myśli pana Dixona? — spytała i dostrzegła w jego oczach irytację.

— Tak.

— Sekcja zwłok została przeprowadzona pierwszego listopada zeszłego roku.

— Czy tego dnia ustaliła pani przyczynę zgonu?

— Tak. Jak wcześniej powiedziałam, pan Dixon zmarł na skutek krwotoku do jamy otrzewnowej, do którego doszło z powodu pęknięcia śledziony.

— Czy tego samego dnia ustaliła pani charakter zgonu?

Maura się zawahała.

— Nie. W każdym razie nie ostateczny...

— Dlaczego?

Odetchnęła głęboko, świadoma, że wpatrują się w nią dziesiątki par oczu.

— Chciałam poczekać na wyniki badań toksykologicznych.

Sprawdzić, czy pan Dixon w istocie znajdował się pod wpływem kokainy lub innych środków farmaceutycznych. Wołałam zachować ostrożność.

— Cóż, powinna pani. W końcu ta decyzja mogła zniszczyć karierę zawodową, ba, nawet złamać życie dwóch oddanych pracy funkcjonariuszy porządku publicznego.

— Mnie interesują jedynie fakty, panie Whaley, i to, dokąd prowadzi.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź. Widziała to po skurczu mięśni jego szczęki. Wszelkie pozory serdeczności znikły. Teraz zaczęła się prawdziwa wojna.

— A zatem przeprowadziła pani sekcję zwłok pierwszego listopada — powiedział.

— Tak.

— Co się potem stało?

— Nie bardzo wiem, co ma pan na myśli.

— Czy wzięła pani wolny weekend? Czy w kolejnym tygodniu przeprowadzała pani inne sekcje?

Wpatrywała się w niego, a niepokój niczym wąż oplatał jej żołądek. Nie wiedziała, dokąd zmierza, ale obrany przez Whaleya kierunek jej się nie podobał.

— Byłam na konferencji patologów — powiedziała.

— Jak sądzę w Wyoming.

— Tak.

— Gdzie doświadczyła pani pewnych traumatycznych przeżyć. Została pani zaatakowana przez nieuczciwego policjanta.

Pani Aguilar skoczyła na równe nogi.

— Sprzeciw. To nie ma związku ze sprawą.

— Sprzeciw oddalony — powiedział sędzia.

Whaley się uśmiechnął. Miał teraz wolną drogę, by zadać pytanie, którego Maura się obawiała.

— Czy to prawda, pani Isles? Została pani zaatakowana przez policjanta?

— Tak — szepnęła.

— Obawiam się, że nie usłyszałem odpowiedzi.

— Tak — powtórzyła głośniej.

— I jak przeżyła pani tę napaść?

Na sali zapadła martwa cisza. Wszyscy w napięciu czekali na dalszy ciąg tej historii. Historii, o której nie chciała nawet myśleć, ponieważ nadal z jej powodu nawiedzały ją nocne koszmary. Przypomniła sobie opuszczone wzgórze w Wyoming. A także głuchy odgłos zatraskiwanych drzwi samochodu zastępcy szeryfa. Drzwi, które zamknęły się za nią, usidlając ją na tylnym siedzeniu za kratami odgradzającymi aresztowanych. Przypomniła sobie, jak wpadła w panikę, daremnie waląc ręką w szybę, usiłując uciec przed człowiekiem, który zamierzał ją zabić.

— Doktor Isles, jak udało się pani przeżyć tę napaść? Kto pani pomógł?

Maura przełknęła ślinę.

— Pewien chłopiec.

— Zapewne Julian Perkins. Szesnastolatek, który postrzelił i zabił tego policjanta.

— Nie miał wyboru!

Whaley pokręcił głową.

— Broni pani chłopca, który zabił gliniarza?

— Złego gliniarza.

— A potem przyjechała pani do Bostonu. I stwierdziła, że pan Dixon zmarł w wyniku zabójstwa.